

**MIŁOŚĆ
niech
ODPOCZnie
trochę**

**DRAGO
JANČAR**

**MIŁOŚĆ
niech
ODPOCZNIĘ
TROCHĘ**

PRZEKŁAD **JOANNA POMORSKA**

Tytuł oryginału: *In ljubezen tudi*

Wydanie polskie na podstawie: Beletrina Academic Press, Ljubljana 2017

Wydawca

Bożena Kućmierowska

Redakcja merytoryczna i korekty

Magdalena Petryńska

Redakcja techniczna

Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne

Janusz Fajto

Prevod je izšel s podpora

Javne agencije za knjigo

Republike Slovenije

Przekład książki

został dofinansowany

przez Słoweńską Agencję Książki



JAVNA
AGENCIJA ZA
KNJIGO RS

Copyright © Drago Jančar, 2017

Published by arrangement with Beletrina Academic Press www.beletrina.com

Copyright for the Polish translation by Joanna Pomorska

Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO

Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach
jakakolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 978-83-7963-135-3

ISBN 978-83-7963-136-0 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

00-696 Warszawa

ul. J. Pankiewicza 3

www.wydawnictwosedno.pl

info@wydawnictwosedno.pl

Rozdział pierwszy

Dziewczyna z fotografii



Na zdjęciu zrobionym przez nieznanego fotografa widać dwie szczupłe dziewczyny: jedna w spódnicy w kratkę, lekkim żakiecie i czarnych pończochach, druga w eleganckim czarnym płaszczu. Pięknie splecione warkocz odrzuciła na plecy, jest bez pończoch. Najwyraźniej to koniec lata, ostatnie tchnienie ciepła, może pierwsze dni września, pora przedpołudniowa – mieszkańcy miasta pewnie spieszą się gdzieś w swoich sprawach, jak kobieta z aktówką, niektórzy tylko przechadzają się bez celu. Mężczyzna z rowerem ucina sobie pogawędkę ze znajomym, może o pogodzie, jakiś inny człowiek pali papierosa, beztrwosko wydmuchując dym; jest spokojny, pogodny dzień. Uważnemu spojrzeniu nie umknie to, co stało się z napisem na dużym budynku z lewej strony: HOTEL OREL zmienił się w HOTEL ADLER; niewielka poprawka, praktyczny właściciel zamówił tylko dwie nowe litery, A i D, a zamiast słowa RESTAURACJA pojawiło się RESTAURANT. W prawym dolnym rogu, odwrócony plecami do fotografa, idzie człowiek w mundurze. W czarnych oficerkach, szarej wojskowej kurtce, z pistoletem w kaburze. Idyllę spokojnego wczesnojesiennego przedpołudnia na jednej z mariborskich ulic niespodziewanie zakłóca niewidzialne napięcie: skąd przychodzi i dokąd idzie mężczyzna w mundurze, który prawie na pewno jest mundurem członków jednostek Schutzstaffel, nieznany esesman pojawia się na skraju fotografii i zmierza w jej głąb. Tylko w pierwszym momencie jest kimś nieznanym, bo jasnowłosa dziewczyna w spódnicy w kratkę i czarnych pończochach, spoglądając na niego, pyta przyjaciółkę:

– Czy nie jest podobny do Ludka?

Przyjaciółce z warkoczami w ostatniej chwili udaje się spojrzeć na twarz przechodzącego niemieckiego oficera.

– Chyba tak – odpowiada. – Tylko wygląda trochę doroślej.

I zaczyna się śmiać. Ale szybko poważnieje na widok zmieniającej się twarzy przyjaciółki.

Dziewczyna w spódnicy w kratkę i czarnych pończochach wygląda na zmartwioną, jakby coś ją dręczyło, może właśnie o tym opowiadała przyjaciółce. Nagle nabiera pewności.

– To naprawdę on – mówi. – Znam go.

Przez moment obie patrzą za oddalającym się mężczyzną.

– Jak myślisz, powiedzieć mu? – pyta niespokojnie lekko drżącym głosem dziewczyna w spódnicy w kratkę.

– Ja bym powiedziała, gdybym była na twoim miejscu – kiwa głową przyjaciółka z warkoczami, jakby dodając jej odwagi, i wzrusza ramionami: – Co ci szkodzi?

Dziewczyna w spódnicy w kratkę nerwowo przestępuje z nogi na nogę.

– Poproszę ojca, żeby z nim porozmawiał, dobrze go zna.

– I po chwili dodaje: – Mam nadzieję, że zechce.

– Sonju! – wykrzykuje przyjaciółka i z uśmiechem mruży oczy: – Bardziej poskutkuje, jeśli ty go poprosisz.

Ten uśmiech wcale tu nie pasuje, jest zdecydowanie nie na miejscu. Sonji, która nerwowo ściska w rękę torebkę, wcale nie jest do śmiechu, nie ma na to najmniejszej ochoty, choć już niedługo będzie musiała się uśmiechnąć; jeśli chce porozmawiać z mężczyzną, będzie musiała uśmiechać się bardzo uprzejmie.

Oficer w mundurze jest już w głębi fotografii, idzie zdecydowanym krokiem, dochodzi do końca ulicy, która teraz nazywa się Burggasse.

– Niech się dzieje, co chce – mówi niespodziewanie jasnowłosa dziewczyna w spódnicy w kratkę, jeszcze mocniej ściska torebkę i rusza za oficerem. Ale nawet gdyby szła bardzo szybko, nie dogoniłaby go, więc po chwili zaczyna biec.

2

Widzę, jak biegnie obok kawiarni Astoria za mężczyzną w mundurze, biegnie Slovenską, właściwie przed laty nazywała się Slovenska, a jeszcze dawniej, za czasów austriackich,

Windischstrasse, teraz to Burggasse, biegnie więc za niemieckim oficerem, jest już coraz bliżej. Na moment traci go z oczu, oficer skręca w Tyrševą, zaledwie kilka lat temu nazywała się Tyrševa, a teraz Herrengasse. Dziewczyna w spódnicy w kratkę, Sonja, przystaje na rogu, oddycha z trudem, patrzy w ślad za mężczyzną. Wygląda, jakby się rozmyśliła, nie da rady. Ale musi, jakaś nadzieja mówi jej, że musi. Decyduje się w jednej chwili i zaledwie po kilku krokach idzie tuż obok niego, usiłuje wyrównać oddech, nie chce, żeby zobaczył ją zasapaną, powinno to wyglądać tak, jakby wybrała się na spacer do parku albo szła w tym samym kierunku załatwić jakieś swoje sprawy. Idzie prawie równolegle, ale krok za nim, może znowu nie potrafi się zdecydować, czy się do niego odezwać, chyba nie ma odwagi, chyba serce bije jej szybciej. Wyprzedza go jednak, spogląda z boku, jakby go właśnie zauważyła, i mówi:

– Ludek, to ty!

Oficer obrzuca ją wzrokiem.

– Nie pamiętasz mnie? – uśmiecha się dziewczyna w spódnicy w kratkę, musi się uśmiechnąć.

Mężczyzna przystaje, patrzy, najwyraźniej jej nie zna.

– Naprawdę mnie nie poznajesz? – pyta dziewczyna, mocniej przyciskając torebkę do piersi. – Jestem Sonja.

– Czego pani chce? – odpowiada oficer po niemiecku niesympatycznym, ostrym głosem. Wbija w nią spojrzenie, w którym mimo wszystko jest odrobina ciekawości, może jednak wydaje mu się znajoma.

Sonja zna niemiecki, ten język nie sprawia jej kłopotów, uczyła się go w gimnazjum, a zresztą w tym mieście teraz mówi się tylko po niemiecku, dlatego jest trochę zakłopotana, bo odezwała się po słoweńsku. Do żołnierza w niemieckim mundurze, oficera, którego chciałaby o coś prosić, więc rozmowa mogłaby się skończyć, zanim się na dobre zaczęła, choć Ludek zna słoweński, o czym Sonja wie, bo jakieś piętnaście lat temu, gdy była małą dziewczynką, mówił po słoweńsku.

– Na Pohorju razem jeździliśmy na nartach – Sonja przechodzi na niemiecki. – Miał pan niebieski sweter.

Zaczyna do niego mówić per pan, jego spojrzenie i głos są takie, że nie może zwracać się do niego po imieniu.

– Miał pan niebieski sweter – powtarza i uśmiecha się – z białym pasem w poprzek... znał pan mojego ojca, ma na imię Anton, Anton Belak... na pewno pan pamięta... kiedyś jeździliśmy razem na nartach, przewróciłam się i pan pomógł mi wstać, cała przemokłam... bo śnieg był mokry.

Wszystko to mówi jednym tchem i patrzy na niego wy-czekująco.

Oficerowi coś zaczyna świtać na dźwięk nazwiska ojca dziewczyny, ale nie chce sobie przypomnieć, o czym mówi młoda kobieta, wtedy faktycznie zwracali się do niego Lu-dek, teraz natomiast jest Ludwigiem, zresztą zawsze był Lu-dwigiem, tylko kiedyś nazywano go Ludkiem – co za głupie słoweńskie zniekształcenie porządnego imienia.

Patrzy na nią i nagle wybucha śmiechem.

– Naprawdę kiedyś jeździliśmy na nartach, tak, pamiętam.

– A ja się przewróciłam.

– Przewróciła się pani w zaspę?

– Pomógł mi pan wstać. Byłam cała mokra, zgubiłam kijek.

– Kijek?

– Kijek od nart, szukaliśmy go w śniegu.

Ludwig spogląda na zegarek.

– A ojciec? – pyta. – Co u niego?

Nie czeka na odpowiedź, spieszy się, ma odpowiedzialną pracę w tym mieście, niezwykle odpowiedzialną, nie może w nieskończoność stać na ulicy i rozmawiać z dziewczyną, której kiedyś podobno pomógł wygrzebać się ze śniegu, prawdopodobnie znalazł też jej kijek, patrzy na zegarek i mówi, że musi iść do pracy. Ale w tej samej chwili przelatuje mu przez głowę myśl, że dziewczyna jest już kobietą i właściwie nie miałby nic przeciwko temu, żeby jeszcze raz podnieść ją z mokrego śniegu.

– Może po pracy moglibyśmy razem wypić herbatę, w kawiarni... – mówi nagle Sonja i czuje, że się czerwieni.

Spogląda na nią zdziwiony, chyba nawet z niedowierzaniem. Ma taką pracę, że słysząc propozycję spotkania, od razu staje się nieco podejrzliwy.

– Z ojcem coś nie w porządku? – pyta prosto z mostu, ponieważ przeczuwa, że za tą herbata stoi jakiś problem, o którym dziewczyna chce porozmawiać.

– Nie z ojcem – odpowiada cicho Sonja.

– Jeśli to coś urzędowego, proszę przyjść do mnie do biura – mówi Ludwig, kiwa uprzejmie głową i rusza dalej.

Sonja milknie, wpatruje się w ziemię. Tak mocno przyciska torebkę do piersi, że bledną jej kostki na dłoniach. Mogłaby pójść za nim, mogłaby powiedzieć, że chętnie potowarzyszy mu w drodze do pracy. Ale to ponad jej siły, zrobiła wszystko, co mogła. Stoi w miejscu i patrzy za nim.

– Tylko herbata – woła, sama nie wie, skąd znalazła w sobie tyle odwagi, skąd tyle desperacji... tak się poniżyć. Na ulicy pokornie prosi niemieckiego oficera o spotkanie. Choć to przecież Ludek, zapalony narciarz z czasu dzieciństwa. I trzeba znieść wymowne spojrzenia przechodniów, ale nie to, znieśie też jego lekko pogardliwy uśmiech, kiedy się odwraca, wstrzymując na chwilę zdecydowany krok, i mówi:

– Dobrze. Jutro po południu jestem wolny. O piątej w Theresienhof. I nie jestem żaden Ludek. Mam na imię Ludwig.

Sonja stoi na środku ulicy, kiwa głową, patrzy na szerokie plecy, czarne oficerki i zdecydowane kroki Ludwiga Mischkolniga, który maszeruje w tych swoich oficerkach i mundurze esesmana naprzeciw ważnym obowiązkom. Wie, gdzie jest Theresienhof, jeszcze kilka lat temu była to Velika kavana, teraz przesiadują tam niemieccy oficerowie. Dziewczęta takie jak Sonja nie bywają w tym miejscu, ale ona pójdzie, musi iść.

3

– Pani niemiecki – mówi Ludwig Mischkolnig, zapalając papierosa – jest znakomity.

Tym razem ma na sobie cywilny garnitur, elegancki, ciemny, w cienkie niebieskie prążki. Sonji wydaje się bardziej podobny do tamtego Ludka z dawnych czasów.

– Dlaczego zwraca się pan do mnie w ten sposób, proszę tego nie robić, znamy się przecież od dawna.

Sonja chciałaby z nim rozmawiać jak z kimś, kogo zna się od lat, bo rzeczywiście znają się już długo, choć on pamięta ją raczej jak przez mgłę.

– To prawda – przytakuje Ludwig. – Na Pohorju, kiedy pomogłem ci się wygrzebać ze śniegu, byłaś jeszcze małą dziewczynką.

– Nie taką znów małą, miałam chyba dwanaście lat. Ale wszystko dobrze pamiętam. Wy, dorośli, raczyliście się grzonym winem, a my, dzieci, dostaliśmy ciasteczka, które zabrała ze sobą mama.

– Grzane wino, no tak.

Pałac, wydmuchuje obłoczek dymu, który nad jego głową zmienia się w drżące kółko. Z zadowoleniem obserwuje swoje dzieło, Sonja też patrzy, ma ochotę się roześmiać, gdyby nie to, że chodzi o ważne sprawy, a może jednak dobrze byłoby się roześmiać, więc śmieje się, trochę na siłę.

– Jak to robisz? – pyta, spoglądając na niego z podziwem. Ach, tylko udaje, że podziwia to wydmuchiwanie kółek z dymu, wcale jej to nie interesuje, stara się z uznaniem patrzeć mu w oczy, ale nie potrafi, nie potrafi, jego oczy mają zimny zielony odcień.

– Chcesz spróbować?

– Nie palę – odpowiada Sonja.

To nieprawda. Kiedyś paliła ze swoim chłopakiem. Bardziej dla żartu, fajnie było w łóżku wydmuchiwać dym z papierosa.

– Żadna sztuka – śmieje się Ludwig.

Znowu puszcza niebieskawe kółko pod sufit i śledzi znikający obłoczek. Jakby mu się nigdzie nie spieszyło, jakby miał dużo czasu. Dużo, bardzo dużo czasu. Sonja czuje dziwny dreszcz, właściwie nie może patrzeć na to bez troskie

zachowanie. Jasne: pewnie tak puszcza kółka, kiedy przesłuchuje kogoś w swoim biurze. Zadaje pytanie, puszcza kółko, obserwuje dym i czeka na odpowiedź.

– Twój niemiecki – mówi Ludwig, który lekko pochyla się nad stołem w jej stronę – jest taki... jak by tu powiedzieć, giętki. I wyraźny, każde słowo wymawiasz bardzo zrozumiale.

– Studiowałam medycynę w Grazu. Karl-Franzens-Universität.

– O!

Mischkolnig powiedział O, najwyraźniej był zaskoczony. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, jego O było jak obłoczki, jak jego kółka dymu w tej kawiarni, która kiedyś nazywała się Velika, a teraz Theresienhof.

– Reichsuniversität – poprawił Sonję. – Zrezygnowaliśmy z tych śmiesznych austriackich nazw.

Pokiwała głową: zrezygnowaliśmy. Jej ojcu nazwa Karl-Franzens-Universität, Uniwersytet Karola i Franciszka, wydawała się bardzo dobra, była stara i szacowna.

– Ale przerwałam studia – dodała.

– Dlaczego?

Nie chciała odpowiedzieć na to pytanie.

– Jest wojna.

Rozbawiło to Mischkolniga: Dlaczego ludzie w czasie wojny nie mieliby studiować? Przecież uniwersytety działają, fabryki produkują, wszyscy mają pracę, życie toczy się dalej.

Dopiero teraz, kiedy nachyla się ku niej, widzi drobne piegi pod oczami, na policzkach i szyi, tak, jeśli dobrze się przyjrzeć, nawet na szyi. Gładka szyja, giętki niemiecki, niczego sobie dziewczyna.

– Nasz profesor niemieckiego – powiedziała pospiesznie, żeby nie odpowiadać na pytania o studia i o powód ich przerwania – nasz profesor z gimnazjum studiował we Frankfurcie.

– Wcale nie o to chodzi, gdzie się uczył wasz profesor. – Uśmiechnął się i wyjaśnił: – Rzecz w tym, że wy, którzy nauczyliście się tego języka, lepiej rozumiecie jego moc i piękno.

Chcę powiedzieć... jest w was jakaś świeżość, a w waszej wymowie precyzja i coś ożywczego. Nie uwierzysz: w Grazu, to musiało być niedługo po tamtej historii z nartami, chodziłem na kurs czystej niemczyzny. Niemczyzny Goethego, niemczyzny Schillera. Przedtem pracowałem w drukarni, na co dzień miałem do czynienia z językiem, ze słowem drukowanym, dlatego wiem, czym jest język i co to jest kultura. Musiałem coś zrobić, żeby się pozbyć tego wstrętnego mari-borskiego akcentu.

Roześmiał się. Zabawne było to, że on, Ludwig Mischkolnig, którego rodzina od dawna trwała w tym mieście na straży niemieckości, uczył się wymawiać słowa i zdania tak, jak robili to Schiller i Goethe.

– Nasz profesor tłumaczył nam – wyrwało się Sonji nieostroźnie – że mariborska niemczyzna to pozostałość jakiegoś bawarskiego dialektu. Wasi przodkowie prawdopodobnie przybyli tu z Bawarii.

Ludwig przestał się uśmiechać. To nie brzmiało śmiesznie, nawet nie było bezmyślne, tylko niedorzeczne, po prostu głupie. Pozostałość? Wasi przodkowie? A niby skąd się wzięli wasi? W śmierdzących kozuchach, z rosyjskich bagien, stamtąd przybyli.

– Twój profesor jest głupcem – odparł spokojnie. – Nawet jeśli latami studiował w mieście Goethego. Wciąż uczysz w gimnazjum?

Sonja pokręciła głową. Ta rozmowa przy herbacie, wśród obłoczków dymu z papierosa, które szybowwały pod sufit, nagle zaczęła zmierzać w niedobrym kierunku, ty naiwna gąsko, przecież nie przyszedłeś tu po to, żeby prowokować tego człowieka.

– Chyba go wysiedlili. Podobno gdzieś do Serbii.

– I tam jest jego miejsce – powiedział. – Na gnojowisku Europy.

Sonja nie zareagowała, patrzyła przed siebie. Wypiła kilka łyków herbaty. Mischkolnig obserwował ją przez chwilę. Kiedy podeszła do niego na ulicy, zarumieniła się, teraz